

DR GORDON NEUFELD
DR GABOR MATÉ

WIĘŻ

**DLACZEGO RODZICE
POWINNI BYĆ
WAŻNIEJSI
OD KOLEGÓW**

GALAKTYKA



DR GORDON NEUFELD
DR GABOR MATÉ

WIĘŻ

**DLACZEGO RÓDZICE
POWINNI BYĆ
WAŻNIEJSI
OD KOLEGÓW**

Przekład: Piotr Cieślak

G A L A K T Y K A

Tytuł oryginału:
Hold on to your kids.

Why parents need to matter more than peers.

Copyright © 2004 Gordon Neufeld, Ph.D. and Gabor Maté, M.D.
Postscriptum – Copyright © 2013 Gordon Neufeld, Ph.D. and Gabor Maté, M.D.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Published by arrangement with Alfred A. Knopf Canada,
a division of Penguin Random House Canada Limited.
Opublikowano na podstawie umowy z Alfred A. Knopf Canada,
działem Penguin Random House Canada Limited.

ISBN wydania oryginalnego: 978-0-307-36196-7

© for the Polish edition: Galaktyka Sp. z o.o., Łódź 2016
90-644 Łódź, ul. Żeligowskiego 35/37

tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl
www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-536-3

Zdjęcie na okładce: *GlobalStock / iStock*

Konsultacja: *Joanna Bylinka-Stoch*

Redakcja: *Bogumiła Widła*

Redakcja techniczna: *Marta Sobczak*

Korekta: *Monika Ulatowska*

Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*

Projekt okładki: *Artur Nowakowski*

DTP: *Garamond*

Druk i oprawa: *Drukarnia im. A. Półtawskiego*

Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych

www.galaktyka.com.pl

info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody Wydawcy książka ta nie może być powielana ani częściowo, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZJAWISKO ORIENTOWANIA SIĘ NA RÓWIEŚNIKÓW

1. Dlaczego rodzice są ważniejsi niż kiedykolwiek 3
2. Zerwane więzi, spaczony instynkt 15
3. Przyczyny rozłamu 31

CZĘŚĆ DRUGA

BOJKOT: JAK ZORIENTOWANIE NA RÓWIEŚNIKÓW SZKODZI RODZICIELSTWU

4. Rodzicielska władza wymyka się z rąk 47
5. Druga strona medalu: gdy więzi obracają się przeciwko nam 59
6. Przeciwwola: dlaczego dzieci stają się nieposłuszne 73
7. Spłykanie kultury 85

CZĘŚĆ TRZECIA

UWIĘZIENI W NIEDOJRZAŁOŚCI: JAK ZORIENTOWANIE NA RÓWIEŚNIKÓW HAMUJE ZDROWY ROZWÓJ

8. Niebezpieczna ucieczka od uczuć 95
9. Uwięzieni w niedojrzałości 109
10. Kolebka agresji 127
11. Geneza prześladowców i ofiar 139
12. Zwrot na seks 155
13. Niewyuczalni uczniowie 167

CZĘŚĆ CZWARTA

JAK PIELEGNOWAĆ ISTNIEJĄCĄ ALBO
ODZYSKAĆ UTRACONĄ WIĘŻ Z DZIEĆMI

14. Przywoływanie dzieci 181
15. Troska o więzi, które dają siłę 199
16. Dyscyplina, która nie dzieli 217

CZĘŚĆ PIĄTA

ZAPOBIEGANIE ZORIENTOWANIU NA RÓWIEŚNIKÓW

17. Nie kuś konkurencji 241
18. Odbudowa wioski więzi 261

CZĘŚĆ SZÓSTA

POSTSCRIPTUM DLA ERY CYFROWEJ (JAK UTRZYMAĆ WIĘŻ
Z DZIEĆMI W EPOCE INTERNETU, SMARTFONÓW I GIER WIDEO)

19. Szalejąca cyfrowa rewolucja 273
20. Kwestia wyczucia czasu 289

Słowniczek 305

Przypisy 313

Indeks 321

O autorach 334

NIE KUŚ KONKURENCJI

MUSIMY PRZESTAĆ tworzyć warunki sprzyjające zastępowaniu nas przez młodocianą konkurencję – oczywiście pamiętając o tym, że naszym wrogiem nie są rówieśnicy dzieci, ale samo zjawisko ukierunkowania na nich.

Zorientowanie na rówieśników wzięło nas podstępem, tak jak mieszkańcy starożytnej Troi zostali wywiedzeni w pole przez konia trojańskiego. Sądząc, że wielka, drewniana konstrukcja jest darem od bogów, Trojanie wprowadzili ją przez bramy miasta i przyczynili się do własnej zguby. Na tej samej zasadzie dzisiejsi rodzice i nauczyciele postrzegają wczesne i bujne kontakty z rówieśnikami jako korzystne. Zachęcamy do nich, nieświadomi zagrożeń związanych z pozostawieniem tego rodzaju relacji bez nadzoru i opiekuńczego wpływu dorosłych. Nie odróżniamy koleżeńskich więzów zadzierzgniętych pod świadomym i mądrym kierownictwem starszych od kontaktów rówieśniczych zrodzonych z pustki więzi. Nieświadomie przyczyniamy się do podkopywania dziecięcego przywiązania do rodziców przez zorientowanie na rówieśników. Jeśli Trojanie dostrzegliby wrażeń Greków we wnętrzu chytrego wynalazku, nie daliby się omamić. Dziś stoimy przed podobnym problemem. Konia trojańskiego w postaci więzi rówieśniczych postrzegamy jako dar, a nie zagrożenie, którym jest w istocie.

Nasza niezdolność do przewidzenia oplakanych konsekwencji jest zupełnie zrozumiała, bo pierwsze owoce wyglądają apetycznie i kusząco. Dzieci zorientowane na rówieśników sprawiają początkowo wrażenie bardziej niezależnych, towarzyskich i obytych, a mniej uczepionych spódnicy. Nic dziwnego, że pozwalamy się okpić, zważywszy na nieznaną rządzących tym zjawiskiem mecha-

nizmów i ceny, jaką na dłuższą metę trzeba zapłacić za ich funkcjonowanie. Jak zatem uniknąć pułapki?

NIE DAJ SIĘ ZWIEŚĆ PIERWSZYM OWOCOM ZORIENTOWANIA NA RÓWIEŚNIKÓW

Łatwość, z jaką dzieci nawiązują kontakty i bawią się ze sobą, na wielu dorosłych sprawia wrażenie samodzielności. Rówieśnicy wydają się najlepszymi opiekunami. Zwłaszcza odkąd starsi nie mogą już liczyć na dziadków, dalszą rodzinę i wspólnotę w zakresie dzielenia się obowiązkami wychowawczymi, koledzy dzieci zdają się być darem z niebios, dającym chwilę oddechu wycieńczonym, znużonym rodzicom i nauczycielom. Ilu z nas nie czuło w duchu wdzięczności za zaproszenie od szkolnego kolegi, które dało nam trochę wytchnienia w weekend albo czas i miejsce, by zająć się czymś ważnym? Dzieci wydają się szczęśliwe, a my mamy mniej obowiązków. Nawet nie przypuszczamy, o ile więcej czasu, energii, pieniędzy i rodzicielskich starań będą kosztowały te spotkania w późniejszych latach, jeśli zorientowanie na rówieśników weźmie górę.

W porównaniu z dziećmi polegającymi na dorosłych, te związane z rówieśnikami sprawiają wrażenie mniej potrzebujących i dojrzalszych. Dzieci ukierunkowane na kolegów nie nagabują nas na wspólne robienie czegoś, na angażowanie się w ich przeżycia, wysłuchiwanie ich trosk i pomaganie w rozwiązywaniu problemów. W świetle dzisiejszego olbrzymiego wzrostu znaczenia niezależności – naszej i dzieci – relacje rówieśnicze mają same plusy. Zapominamy, że dorastanie wymaga czasu. W postindustrialnej kulturze wszyscy bez przerwy dokądś się spieszymy. Zapewne nie dalibyśmy się omamić przez fałszywe wyobrażenia, gdybyśmy z taką niecierpliwością nie czekali, aż dzieci się usamodzielnią.

Dzieci potrafią rozstać się z nami wcześniej tylko dlatego, że trzymają się siebie nawzajem. Na dłuższą metę najprawdopodobniej ugrzęzną w psychologicznej niedojrzałości. Raczej nie będą potrafiły samodzielnie myśleć, podążać swoją drogą, podejmować decyzji, doszukiwać się własnych sensów i być sobą.

W samozadowoleniu utwierdza nas fakt, że dzieci zorientowane na rówieśników przynajmniej początkowo są zwykle podatniejsze na naukę. Cena tego błędnego mniemania (utrata zdolności do nauki) została omówiona w rozdziale trzynastym. Bliskie kontakty z przyjaciółmi mogą sprawić, że dziecko czasowo bardziej polubi szkołę, co zawdzięczamy zależności między rozłąką a chłonnością umysłu. Szkoła zabiera dzieci z domów, oddziela pociechy od dorosłych, z którymi są blisko związane. W szkole takie dzieci będą miały dotkliwie poczucie dezorientacji i odczują silny lęk wynikający z rozłąki. Wielu z nas pamięta pierwsze dni edukacji

– ucisk w żołądku, zagubienie, niepewność, rozpaczliwe poszukiwanie kogoś albo czegoś znajomego. Dla małych dzieci ta dezorientacja często jest nie do zniesienia, a zrodzony z niej niepokój zakłóca naukę. Lęk ogłupia, obniża funkcjonalny iloraz inteligencji. Zaniepokojenie wpływa na zdolność do skupiania się i zapamiętywania. Strach utrudnia dostrzeganie wskazówek i wykonywanie poleceń. Zagubione i wylęknione dziecko po prostu nie może się dobrze uczyć.

Dzieci, które już idąc do szkoły, są zorientowane na rówieśników, nie mają takich dylematów. One już od pierwszych dni zerówki będą sprawiały wrażenie bystrzejszych, bardziej pewnych siebie i lepiej przystosowanych do nauki w szkole. Z kolei dziecko przywiązane do rodziców, ze względu na rozkojarzenie wynikające z rozłąki, będzie się wydawało mniej zdolne i pojętne – przynajmniej do chwili, gdy uda mu się nawiązać bliską więź z nauczycielem. Młodzi zorientowani na rówieśników są w swoim żywiole wszędzie tam, gdzie kolegów jest w bród, a dorosłych jak na lekarstwo. A ponieważ kumpli jest tak wielu i są na wyciągnięcie ręki, takie dziecko nigdy nie będzie się czuło onieśmiałe czy zdezorientowane. Właśnie dlatego na krótką metę więzi rówieśnicze zdają się takim dobrodziejstwem. I bez wątpienia to ten mechanizm rzutuje na wyniki badań dowodzących korzyści z rozpoczynania nauki w młodszych wieku.

Oczywiście w dłuższej perspektywie korzyści dydaktyczne płynące ze zmniejszonego poczucia lęku i zagubienia będą stopniowo znoszone przez uboczne skutki zorientowania na rówieśników. Potwierdzają to wyniki badań, pokazujące nietrwałość zalet edukacji przedszkolnej¹. Dzieci ukierunkowane na rówieśników idą do szkoły nie po to, by się uczyć, ale żeby pobyc z przyjaciółmi. Jeśli ci przyjaciele nie mają smykałki do nauki, oceny zaczną spadać. Dzieci chodzące do szkoły z myślą o kontaktach towarzyskich mają tendencje do uczenia się tylko na tyle, żeby się nie wyróżniać, ale pozostawać wśród równolatków. Poza tym nauka, jako nieistotna dla relacji rówieśniczych, może być nawet przeszkodą.

Wewnętrzne rozedrganie dopada jednak nawet uczniów ukierunkowanych na kolegów. Ponieważ relacje rówieśnicze są z natury niestabilne, niepokój ten często staje się chroniczny. Dzieci utrzymujące bliskie relacje z przyjaciółmi należą do najbardziej pobudzonych, nie mogą znaleźć sobie miejsca i żyją w nieustannym napięciu. Grupę zorientowanych na rówieśników dzieci otacza niemal wyczuwalna aura nadpobudliwości. Takim zubożniałym na subtelniejsze przejawy niepokoju dzieciom pozostają tylko jego fizjologiczne aspekty: impulsywność i nerwowość. A niepokój, bez względu na to, czy jest odczuwany świadomie, zakłóca proces nauki. Zorientowanie na rówieśników może początkowo przyczyniać się do zdobywania lepszych ocen, jednak w ostatecznym rozrachunku torpeduje szkolne osiągnięcia. W miarę jak dziecko umacnia więzi z rówieśnikami, przepaść między

jego inteligencją a dokonaniem pogłębia się. Ten sam czynnik, który na początku zwykle daje dzieciom fory, ostatecznie odbija się czkawką.

Co ciekawe, młodzi kształceni w domach są dziś preferowanymi przez wiele prestiżowych uczelni kandydatami na studia². Według Jona Reidera, odpowiedzialnego za rekrutację na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, wychowankowie domowej edukacji są tak cenieni, bo „przejawiają określone cechy – ambicję, ciekawość i zdolność do brania odpowiedzialności za własne wykształcenie – których szkoły średnie nie wpajają w dostatecznym stopniu”³. Innymi słowy, po tradycyjnej zerówce dzieci mogą mieć lepszy start, ale te kształcone w domach lepiej finiszują, bo w naszym systemie oświaty zaniedbaliśmy fundamentalną rolę więzi.

Przedszkole nie stanowi najważniejszego problemu, a domowa edukacja nie jest jedynym wyjściem. Najważniejszy czynnik stanowi mechanizm więzi. Wystawianie dziecka na sytuacje sprzyjające uzależnieniu się od rówieśników nie zdaje egzaminu. Musimy zadbać o to, by nauka szkolna przebiegała w towarzystwie więzi z dorosłymi.

NIEŚMIAŁOŚĆ NIE JEST PRZESZKODĄ, ZA JAKĄ JĄ UWAŻAMY

Nieśmiałość postrzegamy zwykle jako wadę i zjawisko, które dzieci powinny naszym zdaniem zwalczać. Ale pod względem rozwojowym nawet ta pozorną ułomność pełni przydatną funkcję. Nieśmiałość jest jednym z przejawów więzi, mającym na celu społeczne odgródkowanie dziecka: zniechęcenie go do nawiązywania kontaktów z osobami spoza sieci bezpiecznych relacji.

Nieśmiałe dziecko jest speszone wśród ludzi, z którymi nie czuje się związane. To normalne, że dzieci zorientowane na dorosłych bywają naiwne w kontaktach towarzyskich i nie zachowują się swobodnie wśród kolegów (przynajmniej w młodszych klasach). Dla odmiany dzieci ukierunkowane na rówieśników wydają się duszami towarzystwa. To ich mocna strona. Zawsze wiedzą, co jest fajne, a co nie, co się nosi i jak się mówi – znaczna część ich inteligencji jest zaangażowana w podpatrywanie sposobu bycia i postępowania kolegów.

Towarzyskość dzieci zorientowanych na rówieśników w dużej mierze wynika z wyzbycia się nieśmiałości, a ściślej rzecz biorąc, ze zwrotu w jej okazywaniu: przy kolegach czują się jak ryby w wodzie, a peszą się w kontaktach z dorosłymi. Wśród przyjaciół takie dziecko wychodzi ze skorupy, odzyskuje mowę, przejawia większy rezon. Zmiana w osobowości robi takie wrażenie, że jesteśmy skłonni przypisać tę zasługę kontaktom rówieśniczym. Powtarzamy sobie, że tak korzystne skutki nie mogą przecież brać się z czegoś złego! Jednak w dłuższej perspektywie dziecko

ukierunkowane na rówieśników nie będzie przejawiało troski o innych i zrozumienia dla uczuć nieznanymi osobami – cech świadczących o prawdziwej otwartości i kompetencjach społecznych.

Dzieci zorientowane na dorosłych znacznie wolniej wyzbywają się nieśmiałości w otoczeniu rówieśników. Tym, co ostatecznie powinno ją okiełznać, nie jest ukierunkowanie na rówieśników, ale zdolność doświadczania ambiwalentnych uczuć i emocjonalna dojrzałość, będąca źródłem silnego poczucia tożsamości. Najlepszy sposób na radzenie sobie ze wstydlivością polega na pielęgnowaniu ciepłych relacji z dorosłymi, którzy opiekują się dzieckiem i je uczą. Wziąwszy pod uwagę więź, to nie nieśmiałość powinna nas dziś niepokoić, ale jej brak u wielu dzieci.

BRAK WIĘZI JAKO PRZYCZYNA STRESU W PLACÓWKACH OPIEKUŃCZYCH

Obecna sytuacja w sferze opieki dziennej nad dziećmi dobrze pokazuje, jak mimowolnie kusimy konkurencję. Miliony maluchów na całym świecie przynajmniej część dnia (jeśli nie cały) spędzają w pozadomowych żłobkach i przedszkolach. Według niedawnych statystyk większość pracujących matek w Stanach Zjednoczonych ponownie podejmuje pracę przed ukończeniem przez dziecko pierwszego roku życia⁴. Tymczasem korzystanie z opieki dziennej, zwłaszcza w wydaniu amerykańskim, jest obarczone pewnym ryzykiem. Jak pokazały przeprowadzone ostatnio badania, opieka dzienna jest dla dzieci stresująca. Poziom hormonu stresu (kortyzolu) u dzieci przebywających w takich placówkach jest wyższy niż w domu⁵. Stresujące skutki pobytu w żłobku i przedszkolu są wprost proporcjonalne do nieśmiałości dziecka. Jak już wiemy, nieśmiałość jest przejawem braku emocjonalnej więzi. Dziecko nie okazywałoby onieśmielenia, gdyby dobrze czuło się w obecności swojego opiekuna. Przy braku ciepłych relacji maluch doświadcza podwójnego stresu, wynikającego z rozłąki z rodzicem oraz z poddawania się woli ludzi, przed którą naturalny instynkt nakazuje się bronić.

Inne badania mówią, że im więcej czasu dzieci w wieku przedszkolnym spędzają ze sobą, tym bardziej są podatne na wpływy rówieśników⁶. Ta zwiększona podatność jest zauważalna już po kilku miesiącach. Chłopcy są bardziej skłonni do orientowania się na rówieśników niż dziewczynki. Spostrzeżenie to pokrywa się z inną często obserwowaną u chłopców cechą – słabszą więzią z rodzicami. W efekcie mają oni większe predyspozycje do zastępowania rodziców przyjaciółmi. Najistotniejszy wniosek z tych badań był taki, że im bardziej chłopcy identyfikują się z rówieśnikami, tym większy opór przejawiają w kontaktach z zajmującymi się nimi dorosłymi.

W placówkach opiekuńczych i przedszkolach zjawisko orientowania się na rówieśników nie tylko zaczyna kiełkować, ale już w piątym roku życia wydaje pierwsze owoce. Jeden z największych przeprowadzonych w tej dziedzinie eksperymentów polegał na obserwowaniu ponad tysiąca dzieci od urodzenia do zerówki⁷. Im więcej czasu dziecko spędzało w instytucji opiekuńczej, tym większe istniało ryzyko, że będzie przejawiać agresję i nieposłuszeństwo w domu oraz w przedszkolu. Jak już wspomnieliśmy w poprzednich rozdziałach, agresja i nieposłuszeństwo są pokłosiem zorientowania na rówieśników. Im dłużej dzieci przebywały pod opieką instytucji, tym silniejszą przejawiały przeciwwołę, czego dowodem była kłótniwość, skrytość, droczenie się z opiekunami i krnąbrność. O ich narastającym niezadowoleniu świadczyły napady złości, bicie innych, popychanie, okrucieństwo oraz niszczenie rzeczy. Także w zachowaniach powodowanych więziami dzieci przejawiały większą przebojowość: chełpiły się, przechwalały, nieustannie mówiły i zabiegały o uwagę, co przy braku zdrowych relacji nie powinno stanowić zaskoczenia.

Zorientowanie na rówieśników nie jest jedyną przyczyną zaburzeń więzi, ale w świecie naszych dzieci najpoważniejszą. Patrząc przez pryzmat więzi, trudno o bardziej wymowne przesłanki wskazujące na ryzyko rozwoju relacji rówieśniczych u malców przebywających w placówkach opieki i przedszkolach niż wnioski wyciągnięte z trzech przytoczonych badań. Najoczywistszym wyjściem byłoby zajmowanie się dziećmi w domu, zwłaszcza tymi najbardziej nieśmiały i wrażliwymi, aż dojrzeją wystarczająco, by znieść stres rozłąki z rodzicami. W odpowiedzi na powyższe wyniki badań niektórzy eksperci (między innymi Stanley Greenspan⁸ i Eleanor Maccoby⁹) właśnie takie rozwiązanie doradzali rodzicom, których na to stać. W świetle przytoczonych danych sugestia ta jest słuszna, mija się jednak z celem. Dzieci nie muszą siedzieć u siebie w domu, ale bezsprzecznie powinny czuć się jak u siebie w domu pośród tych, którzy są za nie odpowiedzialni. D o m jest kwestią więzi, a więzi są czymś, co możemy tworzyć. W opiece nad dzieckiem nie liczy bycie s p o k r e w n i o n y m, ale przede wszystkim bycie b l i s k i m.

Nieśmiałość dziecka przejawiająca się w określonej sytuacji ma być dla nas sygnałem, że nie zostały zapewnione warunki, w których jest ono gotowe na opiekę. Takie warunki możemy stworzyć przez nawiązanie z nim kontaktu. O słuszności tego podejścia przekonałem się nawet w odniesieniu do własnych wnuków. Najpierw muszą je przywołać. Dopiero po przełamaniu pierwszych lodów nieśmiałość topnieje i dzieci otwierają się na dziadkowanie.

Żłobki i przedszkola nie muszą stwarzać ryzyka, jednak aby to ryzyko ograniczyć, powinniśmy być świadomi więzi. Zatrudnieni w tych placówkach dorośli muszą dążyć do budowania relacji z dziećmi. A w tym czasie my, rodzice, może-

my podjąć pewne działania na rzecz doboru otoczenia, w jakie trafiają dzieci, oraz (gdy to tylko możliwe) przygotowywać grunt pod kontakty między dziećmi a odpowiedzialnymi za nie dorosłymi. Owszem, jednym z rozwiązań może być zatrzymanie dzieci w domu, aż nauczą się utrzymywać z nami emocjonalną bliskość nawet w czasie rozłąki albo aż dojrzeją wystarczająco, by funkcjonować niezależnie, bez oparcia w więzi. Inne wyjście polega na wykształceniu u nich przywiązania do opiekunów i nauczycieli. To ustrzeże dzieci (oraz tych dorosłych) przed stresem, a nas przed przedwczesnym zastąpieniem. Więcej informacji na ten temat przedstawiliśmy w następnym rozdziale.

KONTAKTY RÓWIEŚNICZE NIE UCZĄ ŻYCIA W ZGODZIE

„Kiedy mój syn miał trzy lata wydawało mi się, że koniecznie powinien brać udział w zajęciach grupowych i przebywać wśród innych dzieci” – wspomina pewien ojciec. „Im gorzej szło mu nawiązywanie przyjaźni, tym usilniej zachęcałem go do kontaktów z kolegami, aranżowałem sytuacje, w których miał okazję się z nimi pobawić i zdobywać nowe znajomości”. Wielu rodziców odczuwa podobną presję na wczesne wprowadzanie dzieci w rówieśniczy świat. Nawet ci, którzy instynktownie skłaniają się ku dłuższemu trzymaniu dzieci przy sobie, zanim wystawią je na rówieśnicze wpływy, mogą znaleźć się pod silną presją ze strony rodziny, przyjaciół albo specjalistów od rodzicielstwa, by dziecko puściło się maminej spódnicy albo tatusiowych spodni.

Panuje niemal powszechne przekonanie, że dzieci powinny być wystawiane na kontakt z rówieśnikami wcześnie, aby mogły znaleźć z nimi wspólny język i nauczyć się sztuki kompromisu. Wielu rodziców szuka dla swoich malców towarzystwa do zabawy. Aranżowanie dzieciom w wieku przedszkolnym spotkań z kolegami często przeradza się w obsesję. „Nauka przyjaźnienia się jest nadzwyczaj ważna. Trzeba koniecznie opanować tę umiejętność przed pójściem do szkoły” – tego rodzaju komentarze słyszę od wielu rodziców przedszkolaków. „Jako rodzice powinniśmy wręcz zmuszać dzieci do socjalizowania się” – zapewniał mnie ojciec czterolatka. „Gdyby nie przedszkole, nasz syn nie miałby wystarczającego kontaktu z innymi dziećmi, aby nauczyć się żyć wśród ludzi”. Z kolei pewien pedagog wieku przedszkolnego poinformował mnie, że: „Cała idea przedszkola polega na pomaganiu młodym ludziom w opanowaniu kompetencji społecznych. Jeśli dzieci wchodzące w wiek szkolny nie mają przyjaciół, mogą potem sprawiać wiele trudności, nie tylko pod względem społecznym, ale też związanych z nauką i poczuciem własnej wartości”. Im mniej dziecko jest towarzyskie i ugodowe,

tym bardziej prawdopodobne, że usłyszymy o konieczności silniejszego kontaktu z rówieśnikami jako o recepcie na te bóle. Rodzice i nauczyciele w naszym społeczeństwie zazwyczaj robią wszystko co w ich mocy, aby umożliwić dzieciom i uczniom kolegowanie się.

Panuje wiara, że uspołecznianie – spędzanie przez dzieci czasu wśród innych dzieci – rzeczywiście uczy życia w społeczeństwie: zdolności do umiejętnego i dojrzałego odnoszenia się do innych istot ludzkich. Wbrew popularności tej hipotezy nie istnieją żadne dowody na jej słuszność. Jeśli kontakty rówieśnicze uczyłyby życia w zgodzie i bycia odpowiedzialnym obywatelem, to im więcej czasu dziecko spędza z rówieśnikami, tym łatwiej powinno mu przychodzić nawiązywanie relacji. W rzeczywistości zaś im dłużej dzieci przebywają ze sobą, tym mniejsza jest szansa na to, że odnajdą się w cywilizowanym społeczeństwie. Jeśli posuniemy tezę o uspołecznianiu do skrajności (weźmiemy za przykład sierocińce, dzieci żyjące na ulicach albo tworzące gangi), ten błąd w myśleniu stanie się oczywisty. Gdyby uspołecznianie było warunkiem udanego życia w społeczeństwie, członków gangów i dzieci ulicy można byłoby stawiać za wzór obywatelskich cnót.

Doktor Urie Bronfenbrenner wraz z zespołem badawczym na nowojorskim Uniwersytecie Cornella w Ithace porównał dzieci preferujące spędzanie wolnego czasu z przyjaciółmi z tymi, które wolały wtedy przebywać z rodziną. Wśród badanych szóstoklasistów o wiele więcej korzystnych społecznie cech wykazywały dzieci wolące spędzać czas z rodzicami. U tych dzieci, które najdłużej przebywały w towarzystwie innych dzieci, ryzyko popadnięcia w kłopoty było największe¹⁰.

Takie wnioski nie są zaskakujące. W świetle naturalnego toku rozwoju człowieka były do przewidzenia. Dojrzałość wymaga więzi oraz indywidualności, zaś prawdziwe kompetencje społeczne wymagają dojrzałości. Integracja społeczna to coś znacznie więcej niż umiejętność dopasowywania się czy życia w zgodzie z innymi. Aby naprawdę nauczyć się funkcjonować w społeczeństwie, trzeba nie tylko po prostu obcować z innymi, lecz to obcowanie nie powinno prowadzić do utraty własnej odrębności albo tożsamości.

Uspołecznianie bez wątpienia odgrywa pewną rolę w przystosowywaniu dziecka do prawdziwej integracji społecznej, ale jedynie jako ostatni szlif. Przede wszystkim dziecko musi umieć pozostawać sobą w kontaktach z innymi i postrzegać ich jako osobne byty. To niełatwe nawet dla dorosłych. Dopiero wtedy, gdy dziecko wie, kim jest, i szanuje inność cudzych myśli – nie wcześniej – jest gotowe do stania na straży własnej tożsamości przy jednoczesnym szacunku dla tożsamości innego człowieka. Po osiągnięciu tego przełomowego etapu w rozwoju kontakty towarzyskie będą ugruntowywały indywidualność dziecka i rozwijały umiejętności interpersonalne.

Prawdziwe wyzwanie polega na pomaganiu dzieciom w dorostaniu do etapu, na którym mogą zacząć czerpać korzyści z uspołeczniania. Niewiele trzeba, by z surowego, lecz wartościowego materiału uzyskać piękny klejnot. To właśnie ów surowy materiał (indywidualność okrzepła na tyle, by przetrwać tarcia w trybach kontaktów rówieśniczych) jest tak cenny i rzadki. Bezrefleksyjne i przedwczesne wrzucanie dzieci na głęboką wodę, bez nadzoru najważniejszych dorosłych, do których są przywiązane, prowadzi do konfliktu (bo dziecko będzie chciało dominować albo musi oprzeć się dominacji) bądź naśladownictwa (dziecko poświęci własną tożsamość na rzecz zaakceptowania przez innych). „Sądziłem, że zabawy z innymi małymi dziećmi są dla naszych chłopców bardzo ważne” – wspomina Robert, ojciec dwóch synów, którzy dziś są już nastolatkami. „Frankie, starszy z braci, doprowadzał kolegów do furii żądaniem, by każda zabawa przebiegała według jego zasad. Jeśli nie postępowali zgodnie z jego oczekiwaniami, wpadał w szal – aż doszło do tego, że trudno było mu znaleźć kolegów do wspólnej zabawy. Młodszy, Rickie, stał się naśladowcą. Papugował wszystko po innych dzieciach. Nigdy nie nauczył się przewodzić albo choćby bawić się samemu”.

Mogę sobie wyobrazić, że wielu czytelników zastanawia się teraz: „Ale co z tak ważną nauką życia w zgodzie z innymi?”. Nie neguję korzyści płynących z umiejętności współżycia z ludźmi. Twierdzę jedynie, że traktowanie jej priorytetowo jest wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy. Stawianie sztuki kompromisu na samym szczycie listy zadań wtłacza niedojrzałe istoty w schematy podporządkowywania się, naśladowania i konformizmu. Dziecko spragnione bliskości, lecz szukające jej u rówieśników, może negować swoje potrzeby, byle tylko dogodzić kolegom. Tak zanika indywidualność. Wielu z nas jest wystawionych na podobne ryzyko nawet w dorosłości, jeśli zanadto przejmujemy się innymi: zatracamy siebie, za szybko się poddajemy, wycofujemy się z konfliktów, unikamy zatargów. Dzieci mają jeszcze większe trudności z pozostawianiem sobą w kontaktach z otoczeniem. To, co w dziecięcym świecie jest chwalone jako dogadywanie się, w dorosłości będzie nazywane chodzeniem na ustępstwa, tanim sprzedawaniem swojej skóry albo postępowaniem wbrew własnym zasadom.

Jeśli chcielibyśmy działać w zgodzie z naturalnymi planami rozwoju, nie przykładałibyśmy takiej wagi do kwestii dogadywania się między dziećmi. Wyżej cenilibyśmy ich umiejętność bycia sobą w kontaktach z innymi. Tego nie nauczy dziecka żadne uspołecznianie. Tylko zdrowe relacje z opiekuńczymi dorosłymi mogą się przyczynić do narodzin prawdziwej niezależności i indywidualności – cech, na których wszystkim rodzicom powinno zależeć najbardziej. Tylko w takim kontekście może powstać w pełni rozwinięta osobowość – człowiek zdolny do szanowania siebie i respektowania indywidualności innych ludzi.

TO NIE PRZYJACIÓŁ DZIECI POTRZEBUJĄ NAJBARDZIEJ

Ale czy dzieci nie mają potrzeb towarzyskich? Jedne z najbardziej palących wątpliwości i kwestii poruszanych przez rodziców oraz pedagogów podczas spotkań ze mną dotyczą rzekomej potrzeby przyjaźni u dzieci. Hasło „Dzieci muszą mieć przyjaciół” jest chyba najczęstszym argumentem na rzecz nakłaniania malców do kontaktów z rówieśnikami.

W odniesieniu do niedojrzałych ludzi sama koncepcja przyjaźni jest pozbawiona sensu. Jako dorośli nie uznalibyśmy kogoś za prawdziwego przyjaciela, jeśli nie traktowałby nas ze zrozumieniem, nie szanował naszych granic i nie cenił takimi, jakimi jesteśmy. Prawdziwy przyjaciel sprzyja naszemu rozwojowi i dojrzewaniu, bez względu na to, jak ma to wpłynąć na obustronne relacje. Ta koncepcja przyjaźni opiera się na solidnych fundamentach wzajemnego poszanowania oraz indywidualności. Prawdziwa przyjaźń jest więc niemożliwa aż do osiągnięcia pewnego poziomu dojrzałości i zdolności do życia w społeczeństwie. Wiele dzieci nie jest choćby w najmniejszym stopniu zdolnych do takich przyjaźni.

Dopóki dziecko nie jest gotowe na prawdziwą przyjaźń, tak naprawdę nie musi mieć przyjaciół, tylko więzi. A jedynymi niezbędnymi dziecku więziami są te z rodziną i z innymi współodpowiedzialnymi za nie ludźmi. Tak naprawdę dziecko przede wszystkim musi być zdolne do prawdziwej przyjaźni – zdolność ta jest zaś owocem dojrzewania, który wyrasta jedynie na gruncie relacji z opiekuńczym dorosłym. Mądrzej spędzimy czas, jeśli poświęcimy go na pielęgnowanie relacji dziecka z dorosłymi, zamiast na obsesyjne organizowanie potomstwu kontaktów z rówieśnikami.

Oczywiście kiedy rówieśnicy dziecka zastępują rodziców, możemy mówić o samospełniającej się przepowiedni: przyjaciele stają się ważniejsi od rodziny. Stwierdzamy wtedy, że to musi być normalne, a stąd zaś już tylko krok do jeszcze bardziej irracjonalnego wniosku, że jest to także naturalne. Robimy więc co w naszej mocy, by dziecko miało przyjaciół, wystawiając na szwank relacje z rodziną. Rówieśnicy spychają rodziców na jeszcze dalszy plan i spirala zaczyna nakręcać się sama.

Jeszcze jedna uwaga na temat przyjaźni. Z perspektywy rozwoju dziecko ma o wiele większą potrzebę relacji z samym sobą niż z rówieśnikami. Powinno nauczyć się rozgraniczać poczucie tożsamości i wewnętrznych przeżyć (zob. rozdział dziewiąty). Młody człowiek musi zyskać zdolność do refleksji nad własnymi myślami i uczuciami; zdolność, która także jest następstwem dojrzewania. Kiedy ktoś dobrze zna siebie, może lubić własne towarzystwo, zgadzać się ze sobą bądź nie, pochwalać swoje postępowanie bądź go nie aprobować, i tak dalej. Kontakty z in-

nymi często udaremniają introspekcję bądź stanowią próby wypełnienia próżni, w której taka relacja z samym sobą powinna zaistnieć. Jeśli ktoś nie czuje się dobrze we własnym towarzystwie, może szukać towarzystwa innych albo uzależnić się od rozrywek takich jak telewizja czy gry wideo. Kontakty rówieśnicze, podobnie jak nałogowe oglądanie telewizji, zaburzają rozwój relacji ze sobą samym. Dopóki dziecko nie przejawia zdolności do introspekcji, nie jest gotowe na wypracowanie prawdziwych relacji z innymi dziećmi. O wiele lepsze byłoby dla niego spędzanie czasu z opiekuńczymi dorosłymi albo na twórczej, samodzielnej zabawie.

RÓWIEŚNICY NIE SĄ ODPOWIEDZIĄ NA NUDE

W naszym zwariowanym na punkcie rówieśników świecie koledzy stali się panaceum na wszelkie troski dziecka. Często traktuje się ich jako sposób na nudę, odmienność i niskie poczucie własnej wartości. Rodzicom jednaków rówieśnicy mogą się jawić jako namiastka braci i sióstr. Ale tu także łasimy się na złoto głupców.

„Nudzi mi się” albo „to jest nudne” – te frazy słyszymy od dzieci do (nomen omen) znudzenia. Wielu rodziców próbuje uwolnić dziecko od nudy, proponując mu różne formy kontaktów z rówieśnikami. To rozwiązanie może doraźnie zadziałać, ale w istocie nasila ono przyczynę zjawiska – tak jak danie głodnemu niemowlęciu smoczka tylko spotęguje jego głód, a pijak próbujący utopić smutki w alkoholu jeszcze bardziej się unieszczęśliwi. Najgorsze zaś jest to, że traktowanie rówieśników jako sposobu na nudę sprzyja uzależnianiu się od ich obecności.

Jakie są prawdziwe przyczyny nudy? Pustka odbierana jako nudzenie się nie jest brakiem bodźców czy aktywności towarzyskiej, jak to się zwyczajowo przyjmuje. Dzieci zaczynają się nudzić, kiedy instynkty więzi nie są dostatecznie rozbudzone i gdy poczucie tożsamości nie zapełnia wspomnianej pustki. To trochę jak działanie na jałowym biegu, zapadnięcie w letarg w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy. Dzieci, które potrafią nadać tej pustce kształt, częściej mówią o uczuciach samotności, tęsknoty albo odosobnienia. Niekiedy ich słowa świadczą o braku inwencji: „Nie wiem, co mógłbym porobić”, „nic mnie teraz nie interesuje”, „skończyły mi się pomysły”, „nie mam weny”. Dzieci nie dość wrażliwe, by uświadomić sobie istotę apatii, odczuwają zagubienie i opisują ten stan jako nudę.

Innymi słowy, marazm doświadczany zwykle jako znudzenie jest skutkiem podwójnego deficytu – więzi i inwencji: w otoczeniu dziecka nie ma kogoś bliskiego, przy kim poczułoby się różnie, a zarazem brakuje mu ciekawości i wyobraźni, by twórczo zająć się czymś samemu. Dziecko, które na przykład nudzi się na lekcji,

nie jest zainteresowane współpracą z nauczycielem ani tym, o czym jest mowa. Oznacza to brak więzi z pedagogiem oraz przejawów spontanicznej ciekawości i fascynacji. Psychologiczna bariera dziecka przed wrażliwością uniemożliwia uzmysłowienie sobie istoty tej pustki, poczucia jałowości wewnątrz siebie. Dziecku wydaje się, że nuda bierze się z otoczenia i jest cechą wynikającą z sytuacji oraz okoliczności. Twierdzi, że „szkoła jest taka nudna”, a gdy jest w domu, mówi: „Nudzi mi się, nie mam co robić”.

Byłoby najlepiej, gdyby taka pustka została wypełniona przez dziecko spontanicznie: własną inicjatywą, hobby, kreatywną samodzielnością i zabawą, świeżymi pomysłami, wyobraźnią, refleksją, niezależnymi pobudkami. Jeśli tak się nie dzieje, powstaje paląca potrzeba zapełnienia jej czymś innym. Nuda jest tym, co czuje dziecko albo dorosły przy braku świadomości prawdziwych powodów apatii. Ponieważ przyczyny odczuwanej pustki są niewyraźne, wyjście jest równie ogólne. Zamiast poszukać pomysłów w sobie, upatrujemy zaspokożenia na zewnątrz – w jedzeniu, zajmowaniu się czymś dla zabicia czasu, w innych ludziach. W takich przypadkach mózg dziecka zaczyna szukać bodźców albo kontaktów towarzyskich. Telewizja, gry wideo lub inne zewnętrzne stymulatory mogą chwilowo przesłonić pustkę, jednak nigdy jej nie wypełnią. Gdy tylko zaprzatające uwagę zajęcie się skończy, nuda wróci jak bumerang.

Działanie tego mechanizmu nasila się u progu dojrzewania, zwłaszcza jeśli więzi z dorosłymi nie są dostatecznie mocne, a załączki tożsamości nie dość rozwinięte. Ale czy dziecko ma lat trzy, czy trzynaście, właśnie w tę pustkę rodzice zwykle wprowadzają jego rówieśników. Młodszym spraszamy kolegów do zabawy albo zachęcamy je, aby same poszukały sobie towarzystwa. „A może pobawisz się z kolegą?” – sugerujemy. Tylko że właśnie wtedy, kiedy dzieci się nudzą, są najbardziej podatne na tworzenie konkurujących z nami więzi. Równie dobrze mogliśmy powiedzieć: „Zobacz, czy przyjaciele nie zaspokoją twojego głodu bliskości” albo: „Jeśli samotność daje ci się we znaki, to może zastrzyk koleżeńskich kontaktów ci pomoże” lub: „Idź, może ktoś inny da ci substytut indywidualności, której najwyraźniej ci brakuje”. Jeżeli naprawdę rozumielibyśmy przyczyny nudy, byłaby ona dla nas dowodem na to, że dzieci nie są gotowe na kontakt z innymi. Im częściej się nudzą, tym bardziej nas potrzebują i tym ważniejsze jest rozwijanie ich własnej tożsamości. Im większe znudzenie, tym mniejsza gotowość na kontakt z rówieśnikami. Zamiast organizować takiemu dziecku zabawy z kolegami, powinniśmy zatroszczyć się o jego relacje z dorosłymi albo o czas, który miałyby dla siebie.

Zorientowanie na rówieśników tak naprawdę pogłębia problem nudy. Kiedy dzieci obsesyjnie przywiązane do innych dzieci nie przebywają ze sobą nawzajem, życie wydaje się im zupełnie jałowe. U wielu z nich dłuższy czas spędzony z ró-

wieśnikami (na przykład nocowanie u kolegi albo wyjazd na kolonie) skutkuje po powrocie dojmującym marazmem i chęcią do jak najszybszego ponownego spotkania z nimi. Ze względu na wyhamowanie procesu dojrzewania i ucieczkę przed wrażliwością, ukierunkowanie na rówieśników blokuje u dziecka wyłanianie się żywiołowej, ciekawej świata i entuzjastycznej osobowości. Jeśli rodzice wciąż mają jakiś wpływ na sytuację, to czas nudy powinien być dla nich okazją do przejęcia spraw w swoje ręce i wypełnienia pustki więzi u dziecka osobami, do których rzeczywiście powinno być przywiązane – dorosłymi.

KIEDY KONTAKTY Z RÓWIEŚNIKAMI SĄ DOPUSZCZALNE I NA JAK WIELE POWINIŃMY POZWOLIĆ?

Mimo poczynionych wcześniej zastrzeżeń, niektórzy czytelnicy mogą odnieść wrażenie, że jestem przeciwny zabawie dzieci z innymi dziećmi czy nawiązywaniu przez nie przyjaźni, chociaż przecież niedojrzałych. Byłoby to nie tylko niemożliwe, ale też zupełnie nienaturalne. Dzieci bawiły się z kolegami od zarania dziejów, jak świat długi i szeroki, ale w większości wspólnot nie istniało ryzyko przerodzenia się kontaktów rówieśniczych w bliskie więzi. Relacje między dziećmi zachodziły w towarzystwie mocnych więzów z dorosłymi. Od dzisiejszych rodziców też nie można oczekiwać, że będą izolowali dzieci od kolegów, mają być jedynie świadomi pewnych zagrożeń.

Kiedy i w jakich okolicznościach powinniśmy zachęcać dzieci do przebywania z innymi dziećmi albo im na to pozwalać? Dzieci oczywiście będą obcować ze sobą w przedszkolu, w zerówce, na placu zabaw i w szkole. Jeśli zatroszczymy się o to, by dzieciaki były do nas mocno przywiązane, nie musimy się obawiać wspólnego spędzania przez nie czasu, choć powinniśmy ograniczać takie sytuacje i dbać o to, aby w pobliżu zawsze był opiekuńczy, czujny dorosły. Chodzi nie o kategoryczny zakaz kontaktów z rówieśnikami, ale o to, żeby nie oczekiwać po nich za wiele: czas spędzany z innymi dziećmi ma być zabawą i niczym więcej. Po każdej zabawie powinniśmy przywołać dzieci do siebie. A jeżeli cały tydzień i większą część dnia dziecko spędza w towarzystwie rówieśników, to aranżowanie mu spotkań towarzyskich po szkole i w weekendy otwiera na oścież drzwi dla konkurencji.

Jakiego rodzaju dziecięce przyjaźni są korzystne? Choć jak już wyjaśniłem, nie nazwałbym większości dziecięcych relacji przyjaźnią w prawdziwym znaczeniu tego słowa, to młodzi naturalnie będą chcieli mieć przyjaciół. Przyjaźnie korzystne dla dzieci to takie, które nie odciągają ich od nas – najlepiej z dziećmi rodziców dzielącymi nasze wartości i dostrzegającymi znaczenie przywiązania do dorosłych. Ryzyko, że tacy koledzy zostaną naszymi mimowolnymi rywalami, jest

znacznie mniejsze. Nie musimy też siedzieć z założonymi rękami – możemy zachęcać przyjaciół dzieci do nawiązywania kontaktów z nami. (Więcej na ten temat napiszę w kolejnym rozdziale).

A jeśli chodzi o rodzaje zabaw? Nie zalecałbym nadmiernego wykorzystywania nowinek technicznych, bo tłumią oryginalność i kreatywność. Nie musimy jednak pokazywać dzieciom, jak powinny się bawić – zawsze to potrafiły. Wystarczy, że zadbamy o stworzenie z nimi tak silnej więzi, by ich inwencja, ciekawość, zapał i wyobraźnia nie zostały zdławione przez ukierunkowanie na rówieśników.

Wreszcie zaś, co wielokrotnie podkreślałem w tym rozdziale, problem naszego społeczeństwa nie wynika z tego po prostu, że dzieci się ze sobą spotykają, ale z nadmiernego zachęcania do takich kontaktów, które traktujemy jako remedium na problemy z uspołecznieniem, z nudą albo poczuciem własnej wartości (za chwilę wrócę do tego).

RÓWIEŚNICY NIE SĄ ODPOWIEDZIĄ NA ODMIENNOŚĆ

Kontakty rówieśnicze są też rutynowo zalecane w jeszcze jednym przypadku: w celu złagodzenia pewnych kontrowersyjnych cech u dzieci, które na nasz gust są trochę zbyt dziwaczne. Wydaje się, że Amerykę Północną opanowała obsesja „normalności” i dopasowywania się do innych. Być może jako dorośli sami do tego stopnia zorientowaliśmy się na rówieśników, że zamiast dążyć do wyrażania własnej indywidualności, wzorce sposobu bycia i postępowania czerpiemy z zewnątrz. Może pamiętamy z dzieciństwa okrutny brak tolerancji młodych ludzi wobec inności i chcemy oszczędzić podobnych doświadczeń własnym pociechom. A może czujemy się podświadomie zagrożeni przejawami indywidualności i niezależności. Bez względu na powody, oryginalność i ekscentryczność wyszły z łask. Aby być fajnym, trzeba wpisywać się w nazbyt wąskie ramy akceptowanego wyglądu i zachowania. W niewyróżnianiu się upatrujemy ochrony przed wstydem, nic więc dziwnego, że dzieci mogą myśleć podobnie. Przyklaskiwanie dorosłych tej tendencji do unifikacji poprzez poddawanie się jej i uznawanie za słuszną jest jednak godne ubolewania.

Im bardziej dziecko może liczyć na akceptację dorosłych, tym większą ma swobodę w rozwijaniu własnej wyjątkowości i indywidualności, i tym większą przejawia odporność na nietolerancję rówieśników. Wtłaczając dzieci w towarzystwo kolegów, pozbawiamy je ochronnej tarczy więzi z dorosłymi. Stają się przez to o wiele bardziej wrażliwe na brak akceptacji ze strony otoczenia. Im bardziej się od nas odsuwają, tym bardziej muszą dopasować się do grona rówieśników i dlatego z taką determi-

nacją unikają manifestowania odmienności. I choć w ten sposób rzeczywiście mogą wyzbyć się „dziwactw”, to rezultat, który zdaje się nam oczekiwanym postępowaniem w rozwoju, w istocie bierze się z dojmującego braku pewności siebie.

NIE LICZ NA TO, ŻE RÓWIEŚNICY PODBUDUJĄ W DZIECKU POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI

Inny powszechny i szkodliwy mit wynika z przeświadczenia o zbawiennym wpływie kontaktów rówieśniczych na poczucie własnej wartości młodego człowieka. Wszystkim nam zależy na tym, by dzieci dobrze czuły się w swojej skórze. Kto z nas nie chciałby, aby jego pociecha знаła swoją wartość, czuła się dobra, potrzebna i lubiana? Literatura popularna każe nam wierzyć, że rówieśnicy odgrywają decydującą rolę w kształtowaniu u dziecka poczucia własnej wartości. Dominuje przesłanie, że aby dziecko czuło się wartościowe, powinno mieć krąg lubiących je przyjaciół. Jednocześnie daje się nam do zrozumienia, że odrzucenie przez rówieśników albo ich niechęć skazuje dziecko na przytłaczające zwątpienie w siebie. W mass mediach królują raporty i publikacje ilustrujące dotkliwe konsekwencje braku akceptacji dziecka przez rówieśników. Jedna z autorek dawnych podręczników poświęconych psychologii rozwojowej twierdziła, że poczucie własnej wartości nie ma wielkiego związku z tym, jak postrzegają dziecko rodzice, jest natomiast całkowicie uzależnione od jego statusu w grupie rówieśniczej¹¹.

Biorąc pod uwagę znaczenie poczucia własnej wartości i przypisywaną rówieśnikom rolę w jego kształtowaniu, można dojść do wniosku, że powinniśmy robić wszystko, co w naszej mocy, by pomagać dzieciom w pielęgnowaniu przyjaźni i zyskiwaniu przychylności rówieśników przez upodabnianie ich do siebie nawzajem tak bardzo, jak się da. Dzisiejsi rodzice żyją w strachu przed towarzyskim wykluczeniem ich dzieci. Wielu rodziców kupuje więc odpowiednie ubrania, zachęca do określonych działań i ułatwia kontakty uważane za konieczne, by dzieci mogły zdobywać przyjaciół, a potem ich utrzymać. Takie podejście wydaje się być słuszne (z naciskiem na **y d a j e s i ę**).

Rówieśnicy istotnie mają ogromny wpływ na poczucie własnej wartości wielu dzieci, bo... właśnie na tym polega ukierunkowanie na rówieśników. Ważnym aspektem odnajdowania swojego miejsca w świecie jest świadomość własnej wartości i znaczenia jako osoby. Kiedy przyjaciele zastępują rodziców, to oni decydują, co dziecko ma cenić w sobie i w innych. Nie powinno być więc dla nas zaskoczeniem, że koledzy wpływają na samoocenę dziecka. Tak jednak nie zawsze było, nie powinno być i nie musi. Ten rodzaj poczucia własnej wartości, który bierze się z kontaktów z rówieśnikami, nie jest nawet zdrowy¹².

Przede wszystkim mamy do czynienia z powierzchownym pojmowaniem samej koncepcji poczucia własnej wartości. Jego najważniejszym aspektem nie jest samoakceptacja, ale niezależność własnych sądów od opinii innych. Wyzwanie polega na tym, by cenić siebie wtedy, gdy nie cenią cię inni, wierzyć w siebie pomimo cudzego zwątpienia i akceptować siebie, gdy jest się przez innych osądzanym. Takie poczucie własnej wartości, które rzeczywiście coś znaczy, jest owocem dojrzewania: człowiek musi wytworzyć relację z samym sobą, być zdolny do ambiwalentnych uczuć, wierzyć w coś, mimo targających nim wątpliwości. W gruncie rzeczy podstawą zdrowej samooceny jest przekonanie o samowystarczalności. Dziecko niemal dostrzegalnie puchnie z dumy, jeśli uda mu się coś zrobić samodzielnie, kiedy sobie radzi i wie, że potrafi czemuś sprostać. Sednem poczucia własnej wartości jest więc wiara w rację i sens własnego bytu. Prawdziwy szacunek do siebie wymaga psychologicznej dojrzałości, która może się narodzić tylko w kokonie ciepłych, serdecznych relacji z odpowiedzialnymi dorosłymi.

Ponieważ dzieci zorientowane na rówieśników mają trudności z dojrzewaniem, szansa na wypracowanie niezależności od cudzych opinii jest u nich znacznie mniejsza. Ich poczucie własnej wartości nigdy się nie ugruntowuje, nie zakorzenia się w szacunku do siebie samego. Jest warunkowe, uzależnione od kaprysów innych. W wyniku tego będzie się ono opierać na zewnętrznych, ulotnych czynnikach, takich jak awans społeczny, wygląd lub dochody. Nie są to jednak miary własnej wartości. Prawdziwy szacunek do siebie nie polega na stwierdzeniu: jestem wartościowy, bo umiem zrobić to czy tamto. Przeciwnie: jestem wartościowy niezależnie od tego, czy to potrafię.

Jeśli ten pogląd na poczucie własnej wartości wydaje się niektórym dziwny, to tylko dlatego, że żyjemy w kulturze propagującej koncepcję szacunku do siebie jako pochodnej obrazu dokonań w oczach innych. Wszyscy chcemy być jak ci z sąsiedztwa, chcemy chępić się nowym samochodem, zdobytym chłopakiem, dziewczyną czy żoną. I wszystkim nam woda sodowa uderza do głowy, gdy inni dostrzegają nasze sukcesy albo ich zazdroszczą. Ale czy naprawdę szanujemy siebie? Nie – szanujemy to, co myślą o nas inni. Czy właśnie taki rodzaj poczucia własnej wartości chcemy wpoić naszym dzieciom?

Brak niepodatnego na wpływy filaru samooceny tworzy pustkę, którą trzeba wypełnić z zewnątrz. Próby załatania tej luki substytutami w rodzaju afirmacji, oznak statusu albo osiągnięć są bezcelowe. Nawet największe dokonania okazują się nietrwale: im więcej ktoś otrzymuje pochwał, tym bardziej łasy staje się na komplementy; im ktoś jest popularniejszy, tym większą chce się cieszyć sławą; im więcej rywalizacji wygrywa, tym usilniej dąży do zwycięstwa. Wszyscy intuicyjnie

to czujemy. Nasze zadanie polega na takim pokierowaniu dziećmi, by przestały uzależniać poglądy i odczucia na swój temat od popularności, wyglądu, ocen albo sukcesów.

Tylko niezależny od tych spraw szacunek do siebie prawdziwie się dziecku przyśłuży. Skutki opierania się na rówieśnikach w kwestii tak ważnej jak mniemanie na własny temat mogą być katastrofalne. Niepokój i obsesja na punkcie zbudowanego na tak kruchych podstawach poczucia własnej wartości będą tym większe, im wyższe ono urośnie. Dzieci są szalenie niestałe w uczuciach. Nie przejawiają odpowiedzialności stabilizującej nastroje i nie są oddane na rzecz czyjśgo dobra. Pozostawianie dziecka na pastwę tak nieprzewidywalnych opinii jest skazywaniem go na niekończące się wątpliwości. Tylko bezwarunkowa, troskliwa akceptacja, jaką mogą zapewnić rodzice, jest zdolna uwolnić dziecko od obsesyjnego zajmowania się przejawami sympatii i aprobaty środowiska.

Póki dziecko nie zyska zdolności do niezależnej oceny własnej osoby, naszym obowiązkiem jest tak usilnie zapewnianie go o jego własnej wartości, by nie czuło potrzeby szukania potwierdzenia gdzie indziej. Takie zapewnienia docierają znacznie głębiej niż komplementy i wyrazy miłości – muszą płynąć ze szczerego serca i przenikać do samej istoty dziecka, dając mu do zrozumienia, że jest kochane i mile widziane, że przynosi nam radość i cieszymy się z samej jego obecności, niezależnie od tego, czy pokazuje się nam właśnie z dobrej czy z gorszej strony. Dążenie do tego, by dziecko było lubiane przez rówieśników w żadnym razie nie leży w jego interesie. A jedyny sposób na to, by umniejszyć znaczenie rówieśników, polega na zwiększeniu naszego znaczenia.

RÓWIEŚNICY NIE SĄ SUBSTYTUTEM RODZEŃSTWA

Kolejnym rzekomym problemem, którego najlepszym rozwiązaniem mają być rówieśnicy, jest kwestia jedynaków. Rozpowszechnił się mit, że aby wyjść na ludzi, dzieci potrzebują innych dzieci. Rodzice mający jedno dziecko często są poważnie zaniepokojeni sytuacją i próbują zrekompensować ten pozorny deficyt, organizując dziecku życie społeczne: szukają mu towarzyszy zabaw i aranżują spotkania z innymi dziećmi. Zastanawiają się, jakim cudem dziecko ma się bawić bez kolegów albo nabywać towarzyskiej oglady bez przyjaciół.

Przede wszystkim musimy sobie uświadomić, że rówieśnicy to nie rodzeństwo, a rodzeństwo jest czymś więcej niż tylko towarzyszem zabaw. Rodzeństwo ma wspólny punkt odniesienia. Wyjątkowa więź między rodzeństwem jest naturalnym pokłosiem więzi z rodzicem. Z pewnymi wyjątkami takie więzi mogą bezkonfliktowo współistnieć z przywiązaniem do rodziców. Relacje między braćmi i sio-

strami powinny być jak oddziaływania między planetami w układzie słonecznym: drugoplanowe względem sił przyciągających każdą z planet do słońca. Lepszym substytutem rodzeństwa są kuzyni, a nie rówieśnicy. Jeśli kuzynów jest niewielu, są niedostępni albo wywierają zły wpływ, rozsądniejsze byłoby kultywowanie kontaktów między rodzinami, w których dorośli chcieliby wejść w rolę przybranego wujka albo ciotki dla dziecka z zaprzyjaźnionej rodziny. Głównymi, efektywnymi więziami dziecka mają być relacje z dorosłymi.

Podkreślę raz jeszcze, że problem tkwi nie we wzajemnych zabawach dzieci, ale w pozostawianiu młodych samym sobie, kiedy ich podstawowe potrzeby więzi nie zostały zaspokojone przez odpowiedzialnych dorosłych. Właśnie wtedy dzieci są narażone na największe ryzyko stworzenia rywalizujących z nami więzi. Im mocniej przywiązani są młodzi do dorosłych, którzy się nimi opiekują, tym mniej musimy się troszczyć o ograniczanie ich kontaktów towarzyskich.

Ale czy dzieci nie mają potrzeby wspólnej zabawy? Musimy dostrzec różnicę między tym, czego dzieci chcą, a tym, czego potrzebują. Do zdrowego rozwoju dzieci potrzebują zabaw spontanicznych i kreatywnych, a nie towarzyskich. Takie zabawy (albo twórcza samotność) nie wymagają interakcji z innymi. U małych dzieci bliskość i kontakt z osobą, do której są przywiązane, muszą być tak bezpieczne, by były uznawane za oczywiste. Takie poczucie bezpieczeństwa pozwala dziecku zapuszczać się w świat wyobraźni lub kreatywności. Towarzysze zabaw rodzą się wtedy w fantazji, tak jak Calvin wyobrażał sobie Hobbesa*, a Krzyś – Kubusia Puchatka i jego przyjaciół. W tego typu zabawach najlepszym partnerem jest rodzic, będący zarazem głównym oparciem dla więzi, choć nawet on nie powinien zbyt ingerować, bo kreatywna zabawa przerodzi się w towarzyską, która jest o wiele mniej korzystna. Bawiące się we własnym gronie dzieci nie potrafią znaleźć w sobie oparcia dla więzi, więc kreatywne zabawy zawsze są wypierane przez relacje towarzyskie. Silny nacisk na rozwijanie kontaktów rówieśniczych sprawił, że zabawa zrodzona z własnej inicjatywy (z dziecięcej kreatywności, wyobraźni i ciekawości świata) staje się coraz rzadsza.

Nie chcę przez to powiedzieć, że pewna doza towarzyskich zabaw zaszkodzi rozwojowi dziecka. Nie popchnie go ona jednak do przodu. Po raz kolejny nie chodzi więc o to, by dzieci nie spędzały ze sobą czasu, ale o to, byśmy nie upatrywali w takich zabawach metody na zaspokajanie ich najgłębszych potrzeb. Mogą

* Tytułowi bohaterowie serii komiksów Billa Wattersona. Calvin to sześciolatek, Hobbess jest jego przyjacielem – pluszowym tygrysem, wspólnie przeżywają różne przygody, bo tygrys ożywa w wyobraźni Calvina. Imiona bohaterów autor wywiódł od Jana Kalwina (Jean Calvin), XVI-wiecznego francuskiego teologa protestanckiego, i Thomasa Hobbessa, angielskiego filozofa żyjącego na przełomie XVI i XVII w. (przyj. red.).

to zrobić tylko opiekuńczy dorośli. W pędzie do uspołeczniania dzieci bardzo niewiele czasu zostawiliśmy im na bycie z nami albo na wymyślanie indywidualnych, twórczych zabaw, które nazwałem spontanicznymi. Ich wolny czas wypełniamy spotkaniami z innymi dziećmi albo oglądaniem filmów, telewizji i grami wideo. Musimy pozostawić im znacznie więcej miejsca na wykształcenie własnej tożsamości.

Wróćmy do kwestii rówieśników jako substytutów rodzeństwa. Dzieci potrzebują dorosłych znacznie bardziej niż innych dzieci. Rodzice nie muszą niepokoić się o jedynaków ani też nie powinni czuć się zobligowani do wypełnienia rzekomej pustki rówieśnikami.

Jeśli odpowiednio wcześnie rozpoznałibyśmy prawdziwe przejawy ukierunkowania na rówieśników – narastającą przeciwność, utratę szacunku i poważania dla autorytetów, przedłużającą się niedojrzałość, nasilającą się agresję, oziębłość emocjonalną, niepodatność na opiekę i naukę – szybko podjęlibyśmy kroki mające na celu rozwiązanie problemu. Niezwłocznie zaczęlibyśmy starać się o przywrócenie należnego nam miejsca w życiu dzieci. Ale ponieważ pierwsze owoce orientowania na rówieśników wyglądają tak kusząco, nie mamy pojęcia, co nas czeka. Wierzymy, że rówieśnicy naszych dzieci są panaceum na problemy napotymane w trakcie wychowywania. Przyjdzie nam za to zapłacić bardzo wysoką cenę. Musimy oprzeć się pokusie przecignięcia konia trojańskiego przez próg naszego domu.

PRZEŁOMOWE SPOSTRZEŻENIA DOTYCZĄCE WIĘZI MIĘDZY RODZICAMI A DZIEĆMI

PSYCHOLOG I LEKARZ łączą siły, by odkryć, dlaczego dla naszych dzieci rówieśnicy stają się ważniejsi niż rodzice. Tymczasem zjawisko to podkopuje spójność rodziny, zatruwa środowisko szkolne oraz napędza pełną agresji i seksu kulturę młodych. Książka Neufelda i Maté proponuje rozwiązania mające przywrócić intuicyjnej więzi między dzieckiem a rodzicem należne jej pierwszeństwo. Koncepty, zasady i praktyczne porady zawarte w *Więzi* pomogą rodzicom w zapewnieniu dzieciom tego, co przewidziała natura: prawdziwej bliskości, bezpieczeństwa i ciepła.



Podejście dr. Neufelda, bazujące na dowodach naukowych z zakresu neuropsychologii oraz psychologii rozwoju, rewolucjonizuje wiedzę na temat rozwoju człowieka. Stanowi ono świetne źródło informacji dla tych wszystkich, którzy pragną wspierać swoje dzieci w wykorzystaniu ich pełnego potencjału. Co więcej – podejście to stymuluje również rozwój nas samych, tak abyśmy mogli być nie tylko dorośli, lecz także dojrzały. Człowiek jest niezwykle istotą, łączącą w sobie wielką wrażliwość i zdumiewającą siłę. Dzięki zrozumieniu tego, kim jesteśmy i jak funkcjonujemy jako ludzie, możemy się stawać takimi partnerami czy rodzicami, jakimi w głębi serca pragniemy być.

**JOANNA BYLINKA-STOCH, PSYCHOŁOŻKA
SPECJALIZUJĄCA SIĘ W TEMATYCE ROZWOJU CZŁOWIEKA**

Czy nie masz wrażenia, że we współczesnym świecie coraz trudniej jest wychowywać dzieci? Ta książka rzuca nowe światło na źródło rodzicielskich problemów i radykalnie zmienia nasze myślenie o wychowaniu. Szczęśliwi ci, którzy ją przeczytają, gdy ich dzieci są jeszcze małe. Ale nawet rodzice zbuntowanych nastolatków mogą mieć nadzieję, że młodzi ludzie zaczną się z nimi liczyć. Najważniejsza jest więź. Jeśli naprawdę o nią zadbamy, wychowywanie przestanie być walką.

HANNA SAMSON, PSYCHOŁOŻKA I PISARKA

PATRONAT MEDIALNY:



www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-536-3



9 788375 795363

Cena: 44,90 zł (w tym 5% VAT)